

An abstract painting by Franciszek Mirandola, featuring a dense composition of thick, expressive brushstrokes in a wide range of colors including red, blue, yellow, green, and purple. The overall effect is one of vibrant energy and complex texture.

FRANCISZEK MIRANDOLA

Cel

FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

Cel

— Nie widzę powodów zapuszczania się w badanie początków i celu naszego bytu! — mówiła do swej sąsiadki drobina bromku srebra, tkwiąca w żelatynie płyty fotograficznej. — Świat jest to ogromna, bliżej niezbadana płaszczyzna, sięgająca na wszystkie strony w „CZARNY PAPIER”, czyli nieskończoność, a każda z nas ma stałe swoje miejsce od wieków wyznaczone przez „WIELKĄ CIEMNOŚĆ”, jedyną, dobroczynną, niepodzielną i ostateczną przyczynę wszystkiego, co istnieje. Istnieją zaś tylko dwie rzeczy na świecie: my i żelatyna. Ta ostatnia jest stworzona dla nas. Oto wszystko, co wiedzieć można... reszta jest głupstwem.

— A jednak przypuścić możemy, że był czas, kiedy zgoła inaczej działało się pod CZARNYM PAPIEREM... mógł istnieć czas, kiedy...

— No... kiedy co?

— Kiedy nie było nawet samego CZARNEGO PAPIERU!

— Milcz!

— Być może, iż nawet nasz stan obecny, wytworzony przez WIELKĄ CIEMNOŚĆ, nie jest odwiecznym i jedynym, a także nie jest ostatecznym i definitywnym... być może, że przedtem... niezmiernie dawno, w toniach przedwieczności istniało coś całkiem innego... coś..

Zamilkła, nie śmiejąc dalej snuć przypuszczeń, pewna zresztą, że nie znajdzie zrozumienia u sąsiadki.

Tak się też stało.

Ortodoksyjna interlokutorka, nie mogąc się odwrócić od buntowniczkę, ni oddalić, zamilkła na znak wzgardy. Złorzeczyła w ciszy WIELKIEJ CIEMNOŚCI za to, że umieściła ją obok tej wariatki, na całą wieczność skazała na to okropne sąsiedztwo i pozbawiła rozkoszy harmonijnego, spokojnego życia pośród równych sobie pojęciami i charakterem.

Z nieznanymi źródłami zrodzone, nie wiadomo jak i przez kogo dalej snute, plątały się wśród statecznego zbiorowiska drobin, istot jednakich z pozoru, rządzących się absolutną oczywistością i nietykalną uznających równość, niejasne, mgliste legendy o rzeczach nadzwyczajnych, przekraczających rozum, niepodległych prawom normalnego spostrzeżenia... słowem głupstwa!

Legendy owe, nazywane przez niektórych „wspomnieniami”, mówiły o początku PŁYTY i jej stopniowych przemianach, zanim wraz z istotami na niej osiadłymi stała się tym, czym była obecnie. Niby wątle cienie snuły się klechdy o słodkim, czerwonym, łagodnym spojrzeniu innego boga, boga, który istniał dawno, dawno, przed narodzeniem WIELKIEJ CIEMNOŚCI, który wisiał wysoko w przeraźnej dali, kędyś poza dzisiejszą nieskończonością i mówiły, że to on, ten bóg jest stwórcą PŁYTY i wszystkiego co się na niej znajduje. W on czas, WIELKA CIEMNOŚĆ nie istniała jeszcze w obecnej swej formie, kształtowała się dopiero. Władal zaś dobroczynny, niepojęty i słodki bóg: CZERWONA LAMPA. Ale z biegiem czasu zaszły zmiany. WIELKA CIEMNOŚĆ rozrósł się niezmiernie, z potężnym szumem, dnia jednego obląła świat i w jej czarnych falach zatonoło dobroczynne bóstwo. Na znak tego zwycięstwa ciemności, legł na świecie potężny demon CZARNY PAPIER i nastąpiwszy potężną swą stopą na zdrętwiałą ze strachu płytę, rozkazał nazywać siebie Nieskończonością. Był to jakby wielkorządca nowego bo-

Obraz świata, Bóg

ga, absolutny, jedyny i nieodpowiedzialny tyran. Oznaczył granice istnienia i zakazawszy myśleć o czymkolwiek poza sobą, zabiwszy wszelką możliwość badania... obojętny na urągliwe pogwary i chybotliwe marzenia, legł spoczywać na zdobytym świecie. I zdawało się, że odpoczynek ten trwać będzie wiekuiście.

Gdzieś ponad nim, o czym wiedzieć jeszcze pozwalała wiedza urzędowa, w niepewnej dali, trwała WIELKA CIEMNOŚĆ, przyczyna wszechrzeczy, jako taka jedyna, odwieczna, niepodzielna i wyłączna. Zaś idea boga czerwonoookiego nikła z wolna, jawiąc się już teraz tylko w marzeniach.

Tak głosili poeci.

Ale nikt ich nie chciał słuchać.

Wiekowe doświadczenie przeczyło wszelkim zmianom i przemawiało silniej do umysłów. Było faktem. Narzucało się jako prawo natury, przez samo swe istnienie udowodnione.

Zezłoszczona sąsiadka marzycielki, rozpowiadawszy pobliskim o przypadłościach mózgowych biedaczki, rozpędziła się tak w elokwencji, że zapominając o zaprzysiężonej pogardzie, przerwała milczenie:

— Zaprawdę moja droga, mówi mi głos wewnętrzny, że ty właściwie nie należysz do naszego zbiorowiska. Ty, wprost myślę, dostałaś się do nas tylko przypadkiem. Tak! Tak! Widzę to jasno! Spadłaś tu do nas z innego świata (o ile są światy inne). Ha, ha, ha! Bardzo być może, że gdzieś w przestrzeniach, pod samym CZARNYM PAPIEREM wiszą zwariowane drobiny, przez Opatrzność wykluczone z życia, dla dobra naszej płyty. Niezawodnie spadłaś stamtąd i utkwiałaś pośrodku nas! Nie wiem tylko, czemu cię złośliwy przypadek rzucił właśnie koło mnie. Prawdziwe nieszczęście!

Zgromiona milczała długo. Wreszcie zaczęła z cicha:

— Nie gniewaj się, moja droga! Wybacz, że cię może nudzę. Ale rada bym zapytać jeszcze o jedno. Tylko o jedno!

— Mów! — odsapnęła zapytana, rada, że ją proszą o pouczenie. Uczyc to bardzo przyjemnie, to pochlebia.

— Powiedz mi, jaki tedy cel naszego istnienia?

— Cel?

— Tak. Taki rozumny sens życia. Wszystko wkoło ma cel. Tedy¹ jaki jest nasz cel?

Zaległa cisza. Wreszcie powiedziała nauczycielka:

— Muszę uchylić to pytanie. Znam tylko samo życie. Wszystko, co ma cel, ma ten cel dla życia. Jeżeli zaś samo życie ma cel jaki, to celem tym jest tylko ono samo. Zrozumiałaś?

— Nie.

— Spodziewałem się tego. Nie znasz filozofii.

— Myślę tak: czy my kiedyś staniemy się czymś wyższym i czy żyjemy po to, aby się kiedyś tym stać?

— To nie jest żadna filozofia, moja droga! To się nazywa „circulus vitiosus”! Rozumiesz? To jest błędny sylogizm, czyli, inaczej mówiąc, głupstwo! To nawet nie jest żadna kwestia, bo taka kwestia w ogóle nie istnieje. Czymś wyższym? Phi! Najwyższym, poznawalnym jest CZARNY PAPIER... Czymś wyższym? No powiedz no mi moja droga, jak sobie wyobrażasz to „wyższe”? Czym chciałabyś zostać? Powiedz, a śmiało, mam trochę czasu zbędnego! Milczysz?... Jeszcze milczysz... Czyżbyś nie miała do mnie zaufania?

Nie było odpowiedzi.

Po chwili dopiero ozwała się pytająca:

— To prawda. Nie jestem w stanie określić formy bytu innej jak nasza. Ale czemuż ja to czuję? Dlaczego tęsknię? Czy tęsknić można za absurdalnym, za niemożliwym. Czuję...

— Oczywiście! I ja też czuję... — przyznała mentorka.

— Naprawdę! A co? — spytała rozkosznie zdziwiona.

— Czuję, że mi bardzo dobrze w żelatynie! — Wygrawszy sprawę, sapnęła z ukontentowania, a na jej powierzchni pojawiło się coś niby uśmiech satysfakcji. Tak samo sądził ogół.

Niewidzialna WIELKA CIEMNOŚĆ i najwyższe z poznawalnych CZARNY PAPIER, oto wszystko. Marzenia i przecucia... oto nic.

¹tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

— Czyż to prawda, że jestem wariatką? — pytała się samej siebie nieszczęsna drobina bromku srebra. — Czyż rzeczywiście wszyscy, na całej PŁYCIE myślą tak, jak to słyszałam, a tylko ja jedna... tylko ja jedna... Tak, tak... to jasne...

Rozpaczliwym spojrzeniem objęła swe otoczenie. Wokół, jak okiem sięgnąć, same przysadkowate, wtopione po szyję w rogowatą masę drobin zezowały ku niej złośliwie.

„Tak, tak... nie ma wątpliwości... ona ma rację, one wszystkie mają rację!” — krzyknęła jej w sercu.

„A może jest ktoś? — myślała. — Może tak samo jak ja cierpi druga dusza... może ich jest dużo...”

To byłoby ocaleniem! Może są... Są na pewno! Tylko daleko niezawodnie, ogromnie daleko, gdzieś poza tą gęstwą wrogów... Są może opodal... coś mi mówi, że są bardzo blisko! Ale to wszystko jedno. Czy są blisko, czy daleko, są zawsze poza sferą porozumienia... czyli... nie ma ich wcale!

I znowu niepodobna znaleźć wyjścia. Znowu staje się wobec klęski.

Czas mijał.

Wszyscy wkoło mierzyli go poczuciem dobra i zadowolenia, ona jedna gorączką niepokoju i rozpaczy.

Aż pewnego dnia stało się coś strasznego.

Powstał szum.

Drobin od razu pogłuchły, a tu i ówdzie odezwały się głosy:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Marzycielka nasza ożyła na nowo i w tym chaosie i przerażeniu ogólnym ona jedna powitała radosną nadzieją groźną katastrofę, siłąc się przy tym na dojrzenie owych drobin pokrewnych, skrytych gdzieś wśród ciżby obcych, chociaż tak bliskich. Ale daremnie. Nie ujrzała ich wcale.

A groza rosła.

Szum zrazu lekki wzmagął się ustawicznie. Plyta poczęła się chwiać, jak gdyby wicher uniósł ją na niezmierny, wzburzony ocean. Moce jakieś szarpały CZARNYM PAPIEREM, który kłębił się i wił, jakby walczył z potężnym wrogiem.

Konwulsyjne wstrząśnienia uczyli wszyscy. Powstała panika, a tym straszniejszą była, że wszystko tkwiło na swoim miejscu, omdlałe jeno², na poły martwe.

Nikt nie dziwił się, choć działy się rzeczy niesłychane, nikt się nie dziwił, choć padło w niwecz odwieczne prawo.

Wszyscy się bali.

Tylko nasza marzycielka pobladłymi ze strachu ustami³ szeptała:

— Legenda! Legenda! Wspomnijcie legendę!

Ale znów nikt nie słuchał.

Nagle, pośród największego szamotania, stała się rzecz niepojęta.

Oto nastąpiła cisza. Cisza absolutna, niemal zgodna z prawem odwiecznym, a wśród tej ciszy, powoli, bezgłośnie rozwarły się niebiosy i oczom zdrętwiałych z przerażenia ukazało się Bóstwo:

CZERWONA LAMPA.

Świat opłynął nagle falą krwi. Zatonął w czerwieni. A czerwień ta słodka była i łagodna. Pieściła pochwycone w topiel drobin. Całowała je jak matka... i zdawało się, że mówi: „Nie bójcie się! Nie bójcie! Jam jest światłość miłosierdzia. Nie bójcie się!”

Długo trwało, nim się ustalił nowy porządek rzeczy.

A jednak tak się wreszcie stało.

I dziwne. Teraz nikt się nie dziwił cudowi, od kiedy narzucił się jako prawo. Katastrofa nabrała wyglądu konieczności, co więcej to, co ongiś potępiano jako marzenie i herezję, teraz posłużyło do ugruntowania nowego światopoglądu. Przyznano, iż poeci i marzyciele wieku minionego mieli niejasne, prorocze przeczucie tego, co nastąpi. Czy było to proroctwem, czy tylko wspomnieniem... O to spierano się długo, aż wreszcie ogłoszono następująca: „*Prawdę o istotnych właściwościach świata i jego początku*”.

²jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

³pobladłymi (...) usty — daw. forma N.Im; dziś: pobladłymi ustami. [przypis edytorski]

1. Świat widomy, czyli PŁYTA, jest to wielka, niezmierna płaszczyzna, która zaczęła swe istnienie w czasie, ale końca mieć nie będzie.

2. Świat widomy, czyli PŁYTA, stworzonym został w czasie przez Bóstwo najwyższe CZERWONĄ LAMPĘ i oddany został w opiekę Bóstwu drugorzędnemu, WIELKIEJ CIEMNOŚCI. Bóstwo to jest emanacją pierwszego i pozornie tylko z nim sprzeczne, w istocie zaś substancjonalnie identyczne, choć różniące się funkcjonalnie. WIELKA CIEMNOŚĆ wyłoniła z siebie, materialniejsze już o wiele, bóstwo trzeciorzędne, CZARNY PAPIER, którego emanacją, jeszcze bardziej grubą i materialną jest żelatyna, która dała życie drobinom bromku srebra.

3. Na PŁYTCIE nic się nie zmienia, wszystko trwa wiecznie, natomiast bóstwa objawiają się przez zmiany, czyli LUNACJE.

4. CZERWONA LAMPA nawiedza stworzenie, darząc je światłem, pozwalając im spojierać w oblicze swoje i darząc rozlicznymi dary.

5. Od zachowania się drobin zależą zjawiania się bóstwa przedwiecznego i dzieje samejże PŁYTY. Tak to same stworzenia są twórcami swego losu i w tych granicach cieszą się posiadaniem wolnej woli.

6. Ideałem doskonałości jest stan, w którym wszystkie drobiny zasługiwałyby na ciągle oglądanie twarzy CZERWONEJ LAMPY. Stan taki nastąpi i wówczas bóstwa drugorzędne znikną, jako już niepotrzebne. Spalą się w płomieniu CZERWONEJ LAMPY i z nią na wieki zjednoczą.

7. Dojście do tego stanu jest celem świata. Tedy celem tego życia jest dojście do życia wyższego, wydostanie się z kręgu ciemności, dziś panującej, w krąg światła, który jest zarazem stanem definitywnym, ostatecznym i niezmiennym.

8. Droga do tego celu jest wiara, posłuszeństwo i modlitwa.

9. Nad wykonaniem praktycznym i nienaruszalnością tej prawdy czuwa kolegium kapłańskie.

Podpisano: MARZYCIELKA, przewodnicząca

Niedługo po ogłoszeniu „Prawdy o istotnych celach i początku świata” znikło bóstwo i WIELKA CIEMNOŚĆ znowu roztoczyła swe panowanie.

Ale prawdy raz powstałe nie znikły wraz ze światłem. Pozostały jako jego abstrakcyjny odbłask, jako dobra nowina.

Tryumf Marzycielki był niezmierny, cześć i szacunek, jakimi ją otoczono, niewypowiedziane.

Dzięki to jej bowiem, dzięki jej tęsknocie, dzięki jej wierze, PŁYTA otrzymała rozumowane prawo moralne, skończył się okres mętnego i płytkiego materializmu, świat cały przejrzał i poznał swój cel ostateczny.

Otrzymała tytuł: „Dobroczyńcy świata”.

Zaiste nie było to za wiele.

Wszystkie drobiny marzyły teraz o tym, by się dostać w jej pobliże. Ale to było niemożliwe.

Sąsiadka usilnie się starała paść jej do nóg, ale i to okazało się niewykonalne.

Poprzestała tedy na tym, że marzyła bez przerwy, by się jej przypodobać.

Niestety, jej marzenie, jako iż nie była zbyt lotną, wrychle przybrało postać narzekania.

— O jakże to dawno — jęczała — jakże dawno zniknęło światło! Czyliż już nigdy WIELKA CIEMNOŚĆ nie rozwinie swych opon?

— Nie szemraj! — nakazywała jej Marzycielka.

I wskazywała na wieki długie, wieki legendarnej wiary w bóstwo, jakie przetrwał świat od chwili pierwszej zjawy.

— Nie szemraj! — nauczała ją. — Trwaj w tęsknocie!

— Ach! Znowu zeszcła ta żelatyna na kamień, tak, że ani wytrwać dłużej!

— Strzeż się! — upominała już surowiej. — Opóźniasz światłość sobie i innym! Módl się!

— Ach! Modłę się, ale CZERWONA LAMPA widać nie słucha moich modłów!

— Modlitwa twoja pełna jest niecierpliwości! Takich błagań nie słucha bóstwo jedyne, nieogarnione, wyłączne, prócz którego nic nie ma na świecie, a którego formą jest wszystko, co istnieje...

Nie mogła domówić swych słów do końca.

Stało się coś przerażającego.

Oto nagle, niespodzianie, bez szumu i wstrząśnienia, rozdarła się czarna opona WIELKIEJ CIEMNOŚCI i na świat spadł... piorun!

Jakiś grom bezgłośny.

Jakaś śmierć nagła.

Nagła, a niewypowiedzianie piękna.

Rozpękł się byt, zawaliło życie.

A przez zgłiszcza wionęła wizja bezkształtna, niewyobrażalna.

Wizja życia innego, życia, którym żyć nie sposób. Życia-śmierci.

Spadła na świat NICOŚĆ, będąca wszystkim!

Stało się Niezapamiętalne! Niemożliwe!

Przyszło skądś, gdzie przed sekundą żył Bóg.

Jego tam już nie było!

Padł trupem i został pochłonięty.

Cicho i na zawsze.

Było znów czarno, tak czarno, że nie widać było WIELKIEJ CIEMNOŚCI.

Zdawało się, że to jej zwęglone zwłoki wiszą w szmatach ponad światem.

A wokół cisza... cisza... martwota niezmierna.

Cisza, co trwać nie przestanie, bo jest sam trupem, cisza próżna, nie zawierająca nawet wspomnień, bo TO wszystkie przeraziło.

TO!

Tak się wydawało wszystkim drobinom na płycie.

Wszystkim?

Gdy przeminęło pierwsze osłupienie i poczęto się rozglądać wkoło, nastąpiło nowe zdziwienie i nowe, lepiej już uświadomione przerażenie.

Marzycielka, przewodnicząca kolegium kapłańskiego zagadnęła sąsiadkę i nie otrzymała odpowiedzi. Zdziwiona, że gadatliwa ta osoba nagle zaniemiała⁴, obejrzała ją dokładnie i... omal nie zemdląła sama ze strachu.

Sąsiadka zmarła.

Tkwiła dalej na swoim miejscu i z pozoru nie zmieniła się wcale. Ale ustało w niej nagle coś, czego określić nie sposób, czego wypowiedzieć nie można. Jednym słowem, zmarła.

Od początku świata stało się to po raz pierwszy.

Właśnie jej się to przydarzyło.

Czyż tylko jej?

Wokoło stało się to samo.

W jednym miejscu zmartwiła cała grupa drobin, w innym wszystkie ostały się żywe.

Tam TO uśmierciło kilka tylko, gdzie indziej wielka przestrzeń usiana była zmarłymi.

Stał się nowy, niepojęty cud.

Śmierć.

I to śmierć dziwna, fantastyczna, bezprawa⁵ i bezcelowo okrutna.

Ustalone, wyrozumowane, zgodne z rzeczywistością prawa życia i wynikające z nich prawa moralne w puch rozbił jakiś piorun, jakieś ZŁO, działające bez sensu, bez celu, dzikie i nieobliczalne.

ZŁO ostateczne, wszechpotężne, a bezrozumne.

ZŁO, którego żywiołem chaos, a skutkiem rozpacz niema, bezbronna i sama w sobie nierozumna.

Nie warto już było żyć, ani myśleć, nie warto już budować żadnych wartości logicznych, ani etycznych, nie warto się modlić, ani kląć, cieszyć się, ni smucić.

⁴zaniemiać — dziś: oniemieć. [przypis edytorski]

⁵bezprawa — dziś raczej: bezprawna. [przypis edytorski]

Czyż poginęli sami źli?
Czyż poginęli sami dobrzy?
Czyż to była kara?
Czyż to była nagroda?
Czy było w tym coś możliwego do poznania?
Ale było w tym jednocześnie wszystko, bo kładło, bo kłaść mogło kres wszystkiemu.
Ale czy wedle woli jakiejś... czy wedle przypadku...
Pewne stało się tylko jedno: CZERWONA LAMPA ZMARŁA.
CZERWONA LAMPA, Bóstwo twórcze, rozumne, logiczne, miłosierdzie, źródło
prawa, emanujące bóstwa inne, wykonawców prawa, zawiadowców szczęścia i zbawienia...
Zmarła... i wszystko przepadło.
Zostało ZŁO...
Szaleństwo siadło na tronie Boga.

Nastał czas dziwny.
Zaczęły się szybkie zmiany, których już nawet notować w świadomości nie mogły
skazane na zagładę drobiny bromku srebra.
Przestały się dziwić.
Wszystko, z trudem przez wieki ustalone, wyplakane łzami tęsknoty, wybrane mo-
dłami długich nocy oczekiwania, wszystko podarło się w szmaty. Związki przyczynowe
pękały. Coś, co dotąd było przyczyną, nagle stało się skutkiem.
Co zmarło, żyło, natomiast żywe przestało istnieć.
Miłosierne, mężne, stało się niemocne i jakby głupkowate...
Nic dziwnego. Wszak rządziło szaleństwo.
WIELKA CIEMNOŚĆ gdzie się zapodziała.
CZERWONA LAMPA wstała z martwych i zjawiła się po to, by z uśmiechem do-
brotliwego idioty przyświecać męczarniom.
ZŁO poraziło w niej bóstwo, pozostał uśmiech boski, pozostał łagodny, słodki blask...
Jakby w masce swej własnej, dawnej twarzy, przeszedłszy krainę śmierci, wyszła znów
wysoko, jakby na czyjś rozkaz, służalczo i spoglądała na rzeczy straszne, nie mrugnawszy
okiem. A działały się rzeczy przeraźliwe.
Jakaś nowa moc zanurzyła świat, wraz z wszystkimi żywymi i umarłymi w otchłań
oceanu, w toń niezgłębioną a przejrystą.
Odwieczne środowisko, w którym żyły drobiny, wzduło się niezmiernie.
Teraz wszyscy porażeni przez szaleństwo, poczęli czernieć, stawać się podobnymi do
WIELKIEJ CIEMNOŚCI, jakby w zimnym tym morzu bez płomieni spalali się na wę-
giel.
Otoczyło ich płynne piekło.
A żywi, półżywi ze strachu, poprzez toń przezroczystą, patrzyli w twarz nieboszczyka-
-boga swego, w jego oko czerwone i obojętne. Spoglądali bez modlitwy i bez rozpacz.
Bo i rozpacz umarła.
Potem zaczął się koniec. Świat ginął w konwulsjach dziwacznych i dla samej nawet
zagłady bezcelowych.
Siła jakaś wyniosła płytę wysoko, przewróciła ją ku CZERWONEJ LAMPIE, za-
trzymała na chwilę w tym położeniu, wreszcie zatopiła w inne morze, niewypowiedzianie
zimne i mętne.
Zali⁶ chciało SZALEŃSTWO pokazać Bóstwu po raz ostatni ruiny?
I po co? Bóstwo przecież przestało rozumieć. Marzycielka zamknęła oczy. Potem
czuła, pogrążona w białych odmętach, że odrywa się od PŁYTY.
Wokół niej fale odrywały kawały rodzimego podłoża wraz z żywymi.
Martwi trzymali się mocno swego grobowca, jakby się z nim zrosli.
Potem wraz z innymi spłynęła... uczuła, że miota nią coś z niezmierną siłą, uderzyła
o skałę śliską i twardą niezmiernie i wreszcie... zatonąła.

⁶zali (daw.) — czyż; czyżby. [przypis edytorski]

Zapadła w biel, nieprześwietloną nawet czerwonym światłem i doznała dziwnego wrażenia.

Było to jakby rozstępowanie się ciała, rozkład, któremu przyświecała świadomość. Ale nikła i ona szybko, ginęła... wreszcie skończyło się wszystko.

Na świecie, zeżartym przez orkan SZALEŃSTWA, pozostały same tylko szerniałe trupy. Chociaż szarpane zębem ZŁA, z uporem nieświadomym trzymały się powierzchni, szklistej teraz i niepodobnej do siebie. Leżały w beładnych kupach, bez celu rozrzuczone, jak je poraził piorun, to blisko siebie, to porozdzielane wielkimi przestrzeniami, to w cieńszych, to w grubszych warstwach... słowem w nieładzie bezrozumnym, nikomu na nic nieprzydatne, niezdolne już nawet odczuwać przeraźliwej jasności; na jaką je wyniesiono, niezdolne widzieć, że CZERWONA LAMPA błysnęła niedługo po śmierci Marzycielki po raz ostatni i zgasła na wieki.

Czyż Bóstwo oprzytomniało wobec grozy zagłady istoty wybranej i skonało z żalu za tą, której tęsknota długa, bolesna i wytrwała sprawiła tyle dobrego?

Zginęła Marzycielka, zginął jej świat i cel jego. I nie wiedziała, że na zeżartym Szaleństwem świecie stała się rzecz nowa. Powstał obraz istoty wyższej, a cel PŁYTY spełnił się dla niej.

Powstał portret CZŁOWIEKA.

Istoty, której świat drobin bromku srebra nigdy nie widział i nie mógł widzieć.

Portret CZŁOWIEKA.

A jakież długie szeregi aniołów postępują drogą wiodącą z nizin pojęć człowieczych, do tronu BOGA.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-cel>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Patrick Hoesly@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.